

TYGODNIK POLSKI THE POLISH WEEKLY

DZIS W NUMERZE:

Anonimowy autor z Pol-
ski, Ludwik Berger, Mi-
chał Choromański, Anto-
ni Cwojdzński, Jan Le-
choń, Irena Lorentowicz,
Aniela Micińska, Janina
Wadwicz, Kazimierz Wie-
rzyński, Jan Wolny

Vol. 3. Nr. 37 (142) Nowy Jork. 23 września — New York, 21, N. Y., September 23rd, 1945.

Cena 20 ct.



ŻNIWA W POLSCE

JAN WOLNY

N A D O D R ą I N I S S ą

III.

Publicyści oficjalni w obecnej Polsce, a niezależnie od nich niektórzy wolni pisarze w prasie polsko-amerykańskiej (nie mówimy o komunistach) gorąco, a nawet entuzjastycznie witają nowe "piastowskie" granice Polski.

Powiadają oni, że naród polski może znaleźć w swych nowych węższych granicach między Bugiem a Odrą i Nissą, dostatecznie szeroką podstawę bytu i dobrobytu dla dalszych swoich pokoleń. Po amputacji słowiańskich mniejszości narodowych, które były dlań raczej ciężarem, po wytrzebieniu 90% obywateli Żydów i po nieodwracalnej stracie niezliczonych rzesz rdzennej polskiej ludności, sprowadzony do dwudziestu paru etnicznie jednorodnych milionów, naród polski ma dosyć przestrzeni w nowych swoich granicach, aby tam się pomieścić teraz i na przyszłość. W minionej wojnie naród polski stracił czarnoziem wołyński i podolski, lasy karpacie i poleskie, dwie trzecie nafty, len wileński i inne pozycje gospodarcze. Ale wzamian za to zyskał nowe porty bałtyckie, węgiel Zachodniego Śląska, doskonałą sieć kolei i dróg, nowe obszary leśne, wysoko stojące rolnictwo, oraz uprzemysłowione prowincje śląskie. Stracił nieplodne obszary północno-wschodnie i poleskie, zyskał mlekiem i miodem płynący Dolny Śląsk. Stracił Lwów i Wilno, ale otrzymał Gdańsk, Szczecin, Wrocław, Bytom, Zabrze i Gliwice.

Publicyści krajowi nie mogą pisać inaczej, bo-by się to dla nich źle skończyło. Pisarze polsko-amerykańscy, których mamy tu na myśli, niezawsze znają temat, o którym piszą. Z całym respektem dla ich patriotycznego uniesienia, nie wahamy się im powiedzieć, że bez głębszego zastanowienia i przemyślenia nowych granic tak uproszczone załatwienie się z tą sprawą jest naiwnością. Sprawa nie jest tak prosta. Odwrotnie, jest ona tak złożona, że tylko w największym skrócie jesteśmy tutaj w stanie wskazać palcem na elementy, które w rozumowaniu na ten temat trzeba wziąć pod uwagę, aby dać sobie z nimi radę.

Wartość gospodarcza każdego terytorjum składa się z jego bogactw naturalnych, ofiarowanych przez samą przyrodę, z ludności i z bogactw nagromadzonych przez pracę szeregu pokoleń tej ludności. Pomorze niemieckie i Mazowsze pruskie, a przede wszystkim oba niemieckie Śląski, Górny i Dolny, były ziemią gospo-

darczo kwitnącemi, gdyż niezależnie od bogactw naturalnych, a więc gleby i węgla, załudnione były przez ekonomicznie oświeconą, pracowitą ludność, obznajomioną z nowoczesnymi metodami produkcjami rolnej i przemysłowej, która to ludność w ciągu wielu pokoleń bez zniszczeń wojennych znakomicie zagospodarowała swój kraj, pobudowała w nim miasta, drogi, kanały, koleje, kopalnie i fabryki, i podniosła kulturę rolną i leśną do jednego z najwyższych na świecie poziomów. (Nie zapominamy, że część tej zasługi spada także na wysiłek rolników, górników i robotników polskich na Górnym Śląsku i na Mazurach, ale zdajemy sobie sprawę z właściwej proporcji tego wysiłku w stosunku do pracy i organizacji niemieckiej.) Dlatego też te prowincje były krajem — co prawda mniej bogatym od innych części Niemiec, ale znacznie bogatszym od przylegających obszarów Polski z 1939 r.

Ponieważ tak było, i to zaledwie rok temu, przyłączenie do Polski tych 45,000 mil kwadratowych nieopiniotomowani pisarze uważają za nabycie przez nią wielkiego bogactwa, dwukrotnie wyższego od wartości utraczonej wschodniej Polski. Taka ocena jest powierzchowna i złudna. W istocie sprawa przedstawia się o wiele mniej pomyślnie. Różnica pomiędzy tezą entuzjastów a rzeczywistością polega na tem, że tak *coprawda było*, ale tak *bynajmniej nie jest*.

Nabywamy te kraje bez ludności niemieckiej — inaczej nie chcieliśmy ich nabyć, a tembardziej nie mogliśmy ich utrzymać. Nie wiemy, jaki procent mniejszości polskiej na Śląsku i na Mazurach pozostał na miejscu. Przypuszczamy, że ten procent nie jest wysoki, bo paniczny impuls ucieczki przed armją czerwoną ubiegłej zimy i wiosny nie był zapewne o wiele słabszy u Polaków, niż u Niemców; nie wiemy, czy ci Polacy, co uciekli na zachód Niemiec będą chcieli i mogli wrócić; nie wiemy, czy władze sowieckie, deportując część ludności wschodnich Niemiec w głąb Rosji, chciały i umiały rozróżniać pomiędzy Niemcami i relatywnie niemieczonymi Polakami, zwłaszcza Mazurami. Nie wiemy, a jednocześnie obawiamy się, że komuniści niemieccy zostali na Śląsku; wiemy ze słów Bieruta, że dla podłożenia dostawon. węgla dla Rosji, sprowadza się na Śląsk 50,000 jeńców wojennych niemieckich do kopalń.

Wiemy jednocześnie, że mało było amatorów w Polsce do wyniesienia

się na stałe do nowych prowincyj; że demagogiczne obietnice cudzego bogactwa przyciągnęły na zachodni Śląsk i Pomorze w pierwszej linii elementy kryminalne, o które łatwo w Polsce po latach niewoli i demoralizacji; że natomiast inteligentów i specjalistów władze lubelskie nie zachęcały do wyjazdu na zachód, bo owały się ich patriotycznych wpływów, ani też z ich strony nie było wielkiej chęci do wyjazdu. Przez jakiś czas wydawało się władzom lubelskim, że wyjazd na Zachód był szczególnym przywilejem, na który trzeba było zasłużyć sobie lojalnością wobec rządu; gdy się okazało, że lojalnymi kolonistami można załudnić pół powiatu, wysiedlenie na Zachód zaczęto traktować jako obowiązek, a nawet przymus i karę. W "Zyciu Warszawy" z 3go sierpnia czytamy, jak przymusowo ewakuowani chłopcy polscy z Wołynia wiele tygodni ciągnę w towarowych wagonach pod Ostrodę — o paręset mil — i, przyzywczajeni do czarnoziemiu, przażerani są wyznaczonymi im piaskami Mazowsza pruskiego. "Zabudowania — spalone, inwentarza ani śladu, narzędzi także." Wołyniaci nie chcą wysiadać z wagonów. Rzecz kończy się "interwencją" tego co reporterka Pietrzakowa eufemistycznie nazywa "Urzędem Bezpieczeństwa" — (przez wielkie litery, jak przystoi na państwo policyjne), — a więc zapewne aresztami i strzelaniną. Konkluzja autorki: "nie fałszujmy obrazu: to nie są krainy miodem płynące". A Wołyn płynął miodem.

Nie martwimy się o Niemców, którym według zasady ząb za ząb i oko oko władze polskie, czy może sowieckie, każą wynosić się w dziesięć minut i z jednym kuferkim ze stron, gdzie mieszkali od trzydziestu może pokoleń. Ale inwentarz po-niemiecki i meble nie trafiają do rąk kolonistów polskich, bo uprzednio zabiera je kto inny. Osiedlanie Polaków na miejsce tych wysiedlonych Niemców odbywa się w warunkach zupełnego chaosu i nieopisanego krzywdy, podobnych do deportacji ich do Rosji azjatyckiej w latach 1940-41. Niemcy są zrujnowani, ale koloniści polscy muszą zaczynać od zera. Nie dziwnego, że wielu przesiedlonych ucieka z powrotem. Co numer cenzurowanej gazety krajowej, to nowy przykład takiej ucieczki. Dlaczego uciekają? Dlatego, że boją się pozostałych jeszcze na miejscu Niemców, którzy obiecują im straszliwą pomstę, że nie wierzą w trwałość posiadania przez Polskę nowych ziem, ale prze-

dewszystkiem dlatego, że "Nowopolska" jest ograbiona do cna.

Prawda, że na tych nowych terytoriach wojska sowieckie amymślnie nie niszcza budynków ani dróg, i tak częściowo zniszczonych przez działania wojenne, nie wycinają niepotrzebnie lasów i nie rozbierają nasypów kolejowych. W tym zakresie armatura tego kraju pozostała i pozostanie ich nabytem bogactwem. Prawda także, że układ pozdamski nie przewiduje, aby Rosja miała prawo zabrać sobie jako odszkodowanie potencjalnej prowincji, przyznanych Polsce. Prawda też, że pod koniec sierpnia radjo warszawskie z dumą podnosiło zasługę rządu warszawskiego, który w układzie reparacyjnym z Rosją uzyskał takie zwolnienie zachodniej Polski z odszkodowań. A przecież jednocześnie telegramy prasowe z tej części Polski, cenzurowane niewątpliwie i przez Polaków, i przez władze sowieckie, a więc jak gdyby autoryzowane przez te władze, donoszą, że np. w prowincji gdańskiej (do której należy także Pomorze wschodnie z Gdynią) rząd sowiecki wywiezie tylko 70%, a nie 85% uzbrojenia przemysłowego, a to z uwagi na zniszczenie tej prowincji i jej znaczenie dla Polski. Przez implikację wynika z tego, że na Śląsku i na Mazowszu pruskim rząd sowiecki wywozi 85% — cokolwiek mówią traktaty.

Nauczeni doświadczeniem, wiemy, że gdy mamy do wyboru sprzeczne informacje o postępowaniu władz sowieckich wobec Polaków, to z notarialną niemal gwarancją możemy być pewni, iż wierzyć trzeba nie dobrym, ale złym wiadomościom. Dlatego też jesteśmy przekonani, że pocieszająca teoria radja warszawskiego jest nieprawdziwa. Ale gdybyśmy nawet mieli się mylić co do teorii, praktyka sowiecka nie pozostawia żadnej wątpliwości.

Przy całej ostrożności, z jaką prasa amerykańska pisze o Sowietach, niema chyba czytelnika gazet, któryby nie wiedział, że okupanci sowieccy jak szarańcza zjadają i wywożą ze zdobytych terenów literalnie wszystko co da się zdemontować i załadować do wagonu czy na samochód. Zapasy żywności, wszelkiego rodzaju towarów i surowców, żywy i martwy inwentarz rolniczy, maszyny, urządzenia i instalacje przemysłowe i górnicze, tabor kolejowy, drogowy, rzeczny i morski, meble i urządzenia domowe i wszelkiego innego rodzaju ruchomości prywatne i publiczne zostają zużyte przez okupanta na miejscu lub wywiezione do Rosji. Od tej reguły niewiele jest wyjątków, a głównym z nich jest niedostateczna sprawność transportu sowieckiego. Zanim jakiegokolwiek nieśmiała i niepewne sie-

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

STROFA O PROMETEUSZU

*Pytasz kto jest ten więzień? Skazaniec zuchwały,
Co losu się nie uląkł i męką się trudzi.
Na górach łańcuchami przykuty do skały,
Pokarany przez bogów, męczony przez ludzi,
Nie wyrzekł się wolności i uparł się przy niej
I okiem swe dalekie obchodzi zastępy
I cokolwiek się stanie, co jeszcze zawini —
Wytrwa przy swoim ogniu. I biada wam, sępy!*

bie władze polskie znalazły się na terytorjum, które miało być przyznane Polsce, już znaczna część tego programu była wykonana. Przed przejściowym oddaniem Wilna Litwie w 1940 r., dokładne i oszczędne władze sowieckie wywoziły z uniwersyteckich budynków posiadki i szyby okienne. W myśl tej samej zasady i praktyki, ze zniszczonego przez wojnę portu gdańskiego władze sowieckie zabrały nie tylko krany i inne przenośne instalacje portowe ale groszowej wartości wmontowane w beton pierścienie i łańcuchy na przystaniach.

Jeśli tak sprawa stoi w Gdańsku, że skierowane tam statki UNKRA muszą zabierać z sobą urządzenia do ich rozładowania, gdyż inaczej żywność i samochody dla Polski nie mogłyby być przeniesione na ląd ani w Gdańsku, ani w Gdyni, to nie można spodziewać się, aby na Śląsku miało być inaczej. O olbrzymich obiektach przemysłowych niemieckiego Śląska, jak fabryka syntetycznej benzyny w Gliwicach, fabryki samochodów i traktorów we Wrocławiu, i wielu innych, nie z Polski nie słyhać. Nie dziwnego, bo albo wyjechały, albo wyjeżdżają do Rosji.

W ujęciu warszawskiego radja i komunistów polskich z Detroit, miliony nowych polskich gospodarzy tryumfalnie obejmują rolnicze, przemysłowe i górnicze bogactwa nowej zachodniej Polski. W rzeczywistości chłopci i rzemieślnicy z korzeniami wyrwani z przedwojennej Polski, skrajnie wyczerpani przez wojnę i okupację, ogłupieni przez chaos administracyjny nowych władz, do których nie mogą mieć zaufania, pozbawieni jakiegokolwiek zapasów, dysponujący jak to z radja lubelskiego wynika, jedną krową na kilkanaście rodzin, zostają osiedleni na ziemi bez inwentarza, w domach bez mebli, skierowani do miast bez transportu i do fabryk bez maszyn i surowców. Nie znając się wzajemnie, w nowym otoczeniu i w przededniu zimy, na którą nie jest przygotowane, ci nowi mieszkańcy nowej zachodniej Polski nie są i nie

mogą być kontynuacją, czy przedłużeniem społeczeństwa w środku kraju. Przewrót, jaki ich spotyka, jest głębszy od rewolucji. Stają się oni gliną w ręku władz, które mogą z nich lepić co im się podoba. W Krakowskim czy Poznańskim organicznie wyrosła armatura socjalna polska w pewnym przynajmniej stopniu oparła się przewrotowi lubelskiemu, importowanemu z Rosji. Pod Wrocławiem czy Kwidzynie nowi osiedleńcy są niezwiązanym między sobą materjałem, z którego okrucieństwa i pełną zależność od administracji robi zupełnie nowe społeczeństwo, społeczeństwo kolektywistyczne. Mamy na myśli tych, którzy przeżyją tę zimę i może jeszcze inne zimy. Kto zaprzeczy, że Bierut i Gomółka nie mają w tem myśli przewrotniej, która przyświeca ich eksperymentowi? Czy nie dlatego usiłowali ograniczyć przesiedlenie do "pewnych" kategorii osób?

Co się dzieje w głowach i sumieniach przesiedleńców? Co za dziczenie obyczajowe, co za chaos w wyobrażeniach i pojęciach moralnych musi u nich panować, jaka niepewność jutra, spotęgowana odciejeniem ich od wszelkich obiektywnych wiadomości z domu i ze świata, i brakiem komunikacji? Kto, kiedy i za co ich odbuduje? Kto zapłaci za nowe instalacje fabryczne, aby zapełnić puste mury zabudowań na Śląsku, i kto te fabryki będzie prowadził? Kto nanowo odbuduje trzy wielkie porty i kto, za czyje pieniądze, zapełni je polskimi statkami? Kto zatrzyma nieuchronny upadek kultury rolnej, doprowadzonej do najwyższej wydajności precyzyjnym corocznym wysiłkiem wielu pokoleń oświeconych rolników? Czy wolińscy i wileńscy chłopci z kapitałem w postaci pary rąk, czy może traktory kolektywów w "samopomocy chłopskiej"? Co pytanie, to problem na pokolenia. I pod czyjem kierownictwem? Oświeconego ekonomisty Osóbki?

I kto Polakom dopomoże w tem cyklopowem zadaniu, z którym muszą się śpieszyć, jak nigdy się nie śpieszy-

li? Nie sami sobie, bo to trwałoby dziesiątki lat; nie rząd ich, zajęty utrwaleniem własnej pozycji, budową aerodromów wojskowych i, jak się teraz dowiadujemy z jego prasy, badaniami nad bombą atomową; nie Rosja, która sama potrzebuje odbudowy i darmo usług nie daje. Nie UNRRA, której fundusze są ograniczone i która na pomoc nędzy polskiej przeznaczą tyle co dla sytych Czechów. A więc może Stany Zjednoczone? Ale czy ktokolwiek w Warszawie wyobraża sobie, że rząd amerykański nie postawi warunków finansowania Polski, że umacnianie w siodle totalistycznego rządu polskiego jest tu popularne? A czy nikomu z naszych wrogów w Ameryce, choćby przyjacielom Niemiec, nie przyjdzie do głowy, że można postawić warunek cofnięcia granicy zachodniej? Piszemy o tem otwarcie, bośmy już takie myśli napotkali.

Zapyta się czytelnik, co robić, aby mogło być inaczej. Czy z wyżej opisanego wynika, że Polacy powinni się wyrzec części terytorjum po-niemieckiego? Byłoby lepiej i przedewszystkiem trwałej, gdyby mogło być nie dojść do tak dalekiego przesunięcia ze wschodu na zachód naszego terytorjum narodowego i gdyby w związku z tem katastrofa przesiedleń mogła być ograniczona w rozmiarach. Ale tak nie jest. Ta sama logika historycznego absurdu, która odbiera Pol-

se Lwów, zabiera Niemcom Szczecin, a Polaków z nad Niemna przerzuca nad Niszę. Była do pomyslenia polityka potężnej Rosji, któraby nas uchroniła od krzywdy, jej zapewniła dobrego sąsiada i budowała rową Europę na trwałych fundamentach. Ale Rosja jeszcze w 1939 r. obrała inną politykę, a błędy nasze i cudze przyczyniły się do jej powodzenia.

Tak więc, kończąc nasze rozumowanie, tyle tylko możemy powiedzieć bona fide czytelnikowi, że jeśli nieprzewidziany bieg wypadków doprowadził nas do układu granic, z którego narazie niema odwrotu, to stało się wbrew woli olbrzymiej większości narodu polskiego. W obecnym układzie stosunków politycznych, który potrwa tak długo, jak świat Jałty i Poczdamu, Polacy nie mają danych na odrobienie, nawet częściowe, strat poniesionych na Wschodzie kraju. Jest natomiast szansa, że na Zachodzie mogą jeszcze coś stracić. Dlatego też jest słuszne, że znaczna część energii narodowej polskiej jest obecnie skierowana na to, aby się na tej nowej zachodniej granicy okopać i puścić na niej korzenie tak szybko i tak mocno żeby nas i z tej pozycji, teraz czy trochę później, nie wyrwano. Wiemy z kraju, że wielu patriotycznych młodzieńców, nie kierujących się oportunizmem i nie kłaniających się marjonetkom rządowym, zdaje sobie z tego sprawę i że z największym wysiłkiem

TYGODNIK POLSKI

is
PUBLISHED WEEKLY
by
at

TYGODNIK POLSKI
806 Lexington Avenue
New York 21, N. Y.
Tel. Regent 7-4168

Publisher and Editor:
Jan Lechoń
Adm. and Business Manager:
Dr. Leopold Obierek

Subscription
Monthly 80 cents
Half Yearly \$4.80 Yearly \$9.50

"Entered as second-class matter
April 27, 1944 at the post office
at New York 1, New York, under
the Act of March 3, 1879"

pracują oni nad zagospodarowaniem się w nowych granicach.

Zgadzamy się z tem stanowiskiem i z tą potrzebą, ale, panowie rzeczniczy oficjalni i panowie entuzjaści, nie wmawiajcie ani w siebie ani w nas, że te nowe granice są dobre, lub słusznie nabyte, żeśmy ich pragnęli, że jesteśmy z nich szczęśliwi, albo — nawet — że jesteśmy ich pewni. To byłaby nieprawda.

W POPRZEDNIM 36 (141) NUMERZE "TYGODNIKA POLSKIEGO"

Generał Władysław Anders: O generale Henryku Dąbrowskim; Kazimierz Wierzyński: Strofa o rozpacz; Jan Lechoń: przekład z Paul Valery; Aleksander Janta: Szydercom; Stanisław Stroński: Potęga kłamstwa; Józef Frejlich: Expose Bevina; Michał Choromański: Nowe noce listopadowe — akt IV; Złote karty polskiego piśmiennictwa. Szymon Askenazy: O woli narodowej. Jerzy Bazarowski: Moi sędziowie (dokończenie); Scrutator: Sprawy polskie w książkach angielskich; Kronika polsko-amerykańska; Opinie i zdarzenia.

ANIELA MICIŃSKA

SPACERY W COLOMBIER

*Gdy falujące węży, kołyszącym ruchem
Nieba — zbyt okrutnego — przysłonią jaskrawość
I nie kaleczą blasku kolczastego druty,
W mokrym i srebrnym sadzie kwitnie deszcz i radość.*

*W dni słotne, nie jesienne, ale już jesieni,
Nasączone igliwem, szeleszczące deszczem,
Pełen cichej radości — szczęśliwy, że jestem,
Długo brodzę po mokrym i pustym ogrodzie.*

*Deszcz odgłos kroków tłumi i kręgi na wodzie
Rysują niewidzialne, bezszelestne krople.
Leszczyna łśni wilgocią — kasztan rad, że moknie,
Jak dobrze jest po deszczu z gołą głową chodzić!*

*Cisza jak noc głęboka — zieleń liści słyszę,
Słyszę, jak piór wilgotne prostują się trawy,
Jak stratowana skwarem i gwarem murawa
Zmartwychwstaje zielenią — zieleni się życiem.*

Felicji i Kazimierzowi Krancom.

ANONIMOWY AUTOR Z POLSKI

A P E L

Dzień pracy w koncentracyjnym obozie w Oświęcimiu trwa 12 godzin. Zaczyna się o 6ej rano apelem i kończy się wieczór także apelem. W południe odbywa się jeszcze jeden apel, gra orkiestra i jest przerwa obiadowa. Gdy za jakiś przekroczenie regulaminu poszczególne bloki czy cały obóz otrzymuje wieczorem apel karny, dzień z 12-tu godzin przedłuża się daleko w noc. Raz, w październiku 1940 roku, pewien chory na biegunkę zamarudził się w latrynie i parę minut spóźnił się na apel. Cały trzeci blok otrzymał za karę czterogodzinny apel nocny. Blisko 700 ludzi stało na wietrze pod ulewnym deszczem, w przenikliwym chłodzie. Umarło wtedy trzech więźniów, z tych jednego apel zastał w agonji. Był to już drugi apel karny w niedługim przeciągu czasu. Niecały tydzień przedtem, gdy Bloksfuehrer, SS. Hans Kretzmann, znalazł w sienniku jednego z więźniów woreczek z tytoniem, trzeci blok stał na apelu dwie godziny. Winowajcę zapakowano na tydzień do ciemnicy. Po tygodniu przeniesiono go do krematorium. Był to silny mężczyzna po czterdziestce, i chociaż rok przebywał w obozie, wyglądał zdrowo i mocno.

Rygor 12-tu godzin jest ustanowiony dla całego roku. Latem lżej go znosić, jesienią i zimą — ciężiej. Sloty i zimna podwajają czas. Ludzie są źle ubrani, mają na sobie cienkie drelichy i do pierwszych przymrozków są bosi i bez czapek. Obojętna natura sprzymierza się wtedy z ludzkim okrucieństwem i ludzką pogardą.

Gdy nastają krótkie dni, praca zaczyna się w nocy, a końca dobiega także w mrokach. Oślepiający blask reflektorów wydobywa z ciemności jasność ostrzejszą, niż dzienna. Oba apele, ranny i wieczorny, odbywają się przy tem obnażającym i złowrogim świetle. Dookoła jest noc ogromna i niema. Gardłowe krzyki capów i SS-ów donośniej i chrapliwiej rozbrzmiewają, aniżeli w dzień. Także SS-ci, dozoruający obóz z drewnianych wież, pilniejsz czuwają przy swych karabinach maszynowych. Poza tem wstaje mglisty, chmurny dzień, lub zapada noc.

Jesienią 41go roku Oświęcim przechodził ciężkie dni. W związku z masowymi aresztowaniami oraz łapankami przygodnych ludzi, po miastach i po drogach, do obozu przychodziły coraz nowe transporty. —

Zwożono je zawsze nocą. W blasku reflektorów, wśród wrzasków SS-ów, wystrzałów i ujadania szczutych psów, gnano z kolei ten ciemny słoczony tłum aż po bramę, na której płonął wielki napis: "Durch Arbeit zur Freiheit".

Po niedługim okresie znośnych warunków mieszkaniowych, w sztabach, obliczonych niegdyś gdy budowano austrjackie koszary na 17 łózek, gniździło się teraz po 100 i więcej ludzi. Sienniki ciasno słoczono przy sobie służyły dwóm a nie raz i trzem więźniom. Wcześniej zaczęły się tego roku chłody. Jesień była ostra i słotna. Śmiertelność wzrastała z dnia na dzień. Szerzyły się choroby, szczególnie biegunka, zapalenie płuc i schorzenia pęcherza.

Poza tem w związku z przybyciem do obozu nowych strażników kurs w stosunku do więźniów uległ silnemu zaostrzeniu. SS-si, przysłani tutaj przeważnie za jakiś służbowe czy prywatne uchybienia, chcąc z miejsca wykazać się przed komendantem obozu, szaleli z gorliwości, która wyładowywała się w nieustannych biciach, kopaniach i najwymyślniejszych szykanach. Śladem swych przełożonych szaleli również capowie bloków i ich zastępcy. Nawet nie jeden z pośród sztabowych, więźniów, jak wszyscy inni, ulegał tej ogólnej atmosferze i bity — bił z kolei swych współtowarzyszy. Plaga kar spadała na obóz.

W kilka dni po drugim karnym apelu trzydziestego bloku zdarzyła się rzecz groźna: jednego z więźniów, należącego do tego bloku, schwytano na nieudanej próbie ucieczki. Stało się to przed południem w godzinach pracy. Natychmiast zarządono apel.

Gdy obóz wśród wzmożonych wrzasków SS-ów i capów ustawił się blokami w przepisowych dziesiątkach, po długim, prawie godzinnem czekaniu, wpędzono na plac przed front szeregów — uciekiniera. Był to młody, dwudziestoparoletni chłopiec. Kopany i pechany przez otaczających go SS-ów szedł, potykając się, oślepiony łnwią, która spływając z rozciętego czoła, zalewała mu oczy. Kilka tysięcy

cy ludzi wyprostowanych na baczność, przypatrywało mu się z natężeniem i w mileczeniu. Gdy tamten doszedł do środka placu, uderzenie pięścią w płuca zmusiło go do wyprostowania się. Wtedy jeden z SS-ów znany z nieprawdopodobnie długich rąk, wypełnął mu za szyję kij z niemieckim napisem: "Znowu jestem tutaj". Drugi przymocował do szyi sznurkiem. Drugi SS., osiemnastoletni kędzierzawy Dietrich, wsadził chłopcu na ostrzyżoną głowę koguta skleconego z kolorowych papierków, a do rąk wetknął mu bębenek z pałeczką. Pozostali rydzeli ze śmiechu. Przycichli dopiero wtedy, gdy zabrał głos komendant. Był to drobny, bardzo zwarto zbudowany mężczyzna, około czterdziestki, o nieproporcjonalnie dużej głowie i martwej, ziemistej twarzy, co przypominało maskę. Przemówił krótko swoim głuchym i bardzo donośnym głosem człowieka przywykłego do rozkazowania. Niefortunnego uciekiniera skazano na 100 kijów. Cały obóz miał być świadkiem egzekucji. Ale zanim to nastąpiło, kazano winowajcę przemaszeraować wzdłuż wszystkich szeregów swóich współtowarzyszy. SS-si i capowie pilnie uważali, by nikt nie odważył się opuścić oczu. Kto to uczynił, był natychmiast bity. Po pierwszych biciach spojrzania wszystkich wlepione były w idącego.

Szedł wolno krokiem dziwnym, jakby nie na swoich nogach, wyprostowany, lecz z oczami ciągle niewidzącymi, powleczonej mgłą, która nadawała im obcy, nieludzki wyraz. Usta miał pokrwawione i skrzywione grymasem, widać było, że końcem języka zwiłża ranę po wybitych zębach. W lewej dłoni trzymał bębenek, a prawą, która była krwawym strzępem, uderzał weń pałeczką, wybijając takt równy i okropny. Przed frontem szeregu trzech capów ustawiało prowizoryczną estradę. Cisza była ciężka i przytłaczająca, jaka zalega w tłumie opętanym grozą. Wśród niej niezmiennym rytmem rozbrzmiewały tępe i krótkie uderzenia pałeczki w pergamin bębenka.

Po chmurnym ranku przejaśniło się teraz cokolwiek i nawet słońce ukazało się z poza strzępów brunatnych obłoków. Delikatna jasność prześwietliła mgliste powietrze, a srebrne liście smukłych topoli, rosnących wzdłuż czerwonych bloków, zaślśniły czystą wilgocią. Czas mijał wolno.

(Ciąg dalszy nastąpi)

PROSIMY
CZYTELNIKÓW
O ODNOWIENIE
ZALEGŁEJ PRENUMERATY

ANTONI CWOJZIŃSKI

WSPOMNIENIE O STEFANIE JARACZU



Jaracz jako Napoleon
w "Madame Sans Gene"

Ostatni raz widziałem Jaracza w lutym czterdziestego roku. Siedziałem z nim wtedy w kawiarni na Placu Napoleona.

Warszawa wyglądała podobnie do dzisiejszej. Ruiny trochę mniejsze i może trochę mniejsze gwałty, ale na ulicach tak samo obce żołdactwo, a między ludźmi ten sam beznadziejny smutek.

Mimo to, jak zawsze, mówiliśmy o teatrze. Bo wiadomo było, że wojna skończy się za parę miesięcy i że Niemcy ją przegrają, będziemy więc znowu wolni i życie popłynie dalej. A że teatr był zawsze istotną częścią kulturalnego życia Polski, trzeba było myśleć, co grać.

— Jak pan myśli, czy sztuki osnute na tle wojny pójda? — spytałem.

— Hm... — mruknął Jaracz, ale nie kwapił się z odpowiedzią.

— A może społeczne, poruszające zagadnienia socjalne? Wojny przynoszą zawsze zmiany...

— Hm...

— A może tematy abstrakcyjne, oderwane od życia utopje? Bo nie zdaje mi się, żeby czas po wojnie na-

dawał się do jakichś subtelności psychologicznych czy naukowych teorii w sztukach.

— Hm...

— Niechże pan powie coś, poradzi! Nic teraz, jak my wszyscy, nie mam do roboty, więc choć dziś nie jest bezpiecznie pisać, mogę coś sobie obmyślać. Jak pan myśli, panie Stefanie? Jakie sztuki pójda po wojnie?

— Powiem panu jakie — odezwał się wreszcie i po chwili namysłu powiedział: — Dobre.

Jaracz miał ogromne poczucie humoru, ale teraz mimo pozorów nie żartował. Gdy oburzyłem się na tę jego "radę", wyjaśnił poważnie.

— Jeżeli da pan w sztuce prawdziwą dobroć czy prawdziwą złość prawdziwych ludzi, innymi słowy, jeżeli napisze pan prawdziwą, dobrą sztukę, będą na nią chodzili tak samo po wojnie, jak przed. A czy te prawdziwe namiętności będą przedstawione na tle wojny, czy na tle socjalnem, czy na tle jakiejś utopji — nie jest istotne. Istotna jest tylko prawda. Gdy ona jest, teatr jest dobry i jest w nim pełno, a gdy niema — niema teatru. Jest udawanie, małpowanie, w najlepszym razie cyrk, ale nie teatr.

W tej prawdzie, o której mówił, tkwiło posłannictwo społeczne, zawarta była filozofja, leżało przeznaczenie teatru Jaracza.

Dziwnie tu w Ameryce brzmi, gdy mówi się o jakimś posłannictwie czy o filozofji teatru. Bo można o Ameryce powiedzieć wszystko najlepsze, można jej przypisać wszystkie cuda, ale nie — cudny teatr. Trafi się dobra sztuka, trafi się dobre przedstawienie, czasem trafi się nawet dobry aktor, choć częściej — dobrze reklamowany i dobrze płatny, ale tego, co w Europie nazywało się teatrem, właściwie tu niema. I inaczej być nie może, gdy tworzy tu wszystko przeważnie obcy amerykańskiej kulturze kapitalista z Broadway'u, a aktor — nie liczy się. W Europie teatr tworzył aktor, reżyser i idący z nimi ręką w rękę pisarz, a kapitalista nie liczył się. Istotną rzeczą była funkcja, jaką teatr spełniał w społeczeństwie, a nie pieniądze, jakie ewentualnie udało się po drodze zrobić przedsiębiorcy. Teatr był tam istotnie czemś w rodzaju świątyni sztuki, a aktor, mimo swej nie raz rozwiązanej świeckości i mimo że sam śmiał się z tego, czemś w rodzaju kapłana tej świątyni.

Tak właśnie rozumiał to Jaracz. Mimo swych nieco sprzecznych z powołaniem do stanu kapłańskiego pąsji, a zwłaszcza namiętności do wódki, lubił porównywać teatr do świątyni, aktora do jej kapłana, a przedstawienie — do obrzędu, w niej odprawianego. Podczas tego, przedzierzga się on, w tajemniczy dla niego samego sposób, w inną postać. Przyjmuje nie inne ruchy czy inne szaty, lecz inną duszę, która przechodzi inną dolę, by wraz z nim przeżyli ją inni. A to przeżycie innych losów jest tajemniczą potrzebą człowieka, skazanego na jedno tylko życie, oczyszcza ono widza drogą greckiej katharsis i na tem polega społeczne znaczenie teatru.

Jaracz, mimo że był praktykiem w każdym calu, mimo że dążył do przeprzerobienia wszystkiego na realne wartości sceny, namiętnie lubił filozofować na temat teatru. O każdej swej roli, a raczej postaci, którą tworzył, potrafił mówić godzinami. Tak długo, aż — jak sam to nazywał — zapadła mu w podświadomość.

— Wtedy dopiero mogę grać kogoś — tłumaczył mi — gdy czuję, że nie gram go, tylko jestem nim. Rozumienie — to za mało. Ja muszę w każdej chwili mówić tak jak on, poruszać się tak jak on, mieć takie jak on odruchy, myśleć jego mózgiem, czuć to, co on czuje, to znaczy — muszę stać się nim. Wtedy dopiero wiem, że wszystko, co zrobię, będzie



Jaracz w "Szczęściu Frania"

dobrze, bo to on, o którego właśnie chodzi, a nie ja robię.

— A co z panem? Znika pan?

— Nigdy w świecie! To właśnie jestem ja! W jakiś tajemniczy sposób o jest jakaś część i to jakaś najistotniejsza część mnie samego. Widać gdzieś, gdzieś głęboko w każdym z nas żyją wszyscy inni ludzie, żyjący, nie żyjący i pomyślni, i gdy oni dochodzą do głosu, człowiek czuje, jakby był — wszystkim. I jakby to było przeznaczeniem człowieka. Gdy grałem Adama, czułem wyraźnie, że coś we mnie chciało przeżyć ból pierwszego człowieka, który za pierwszy swój grzech cierpi nad utratą raju.

Gdy grał tę rolę w starej sztuce z osiemnastego wieku, był wstrząsający. Gdy mówił naiwne wierszyki:

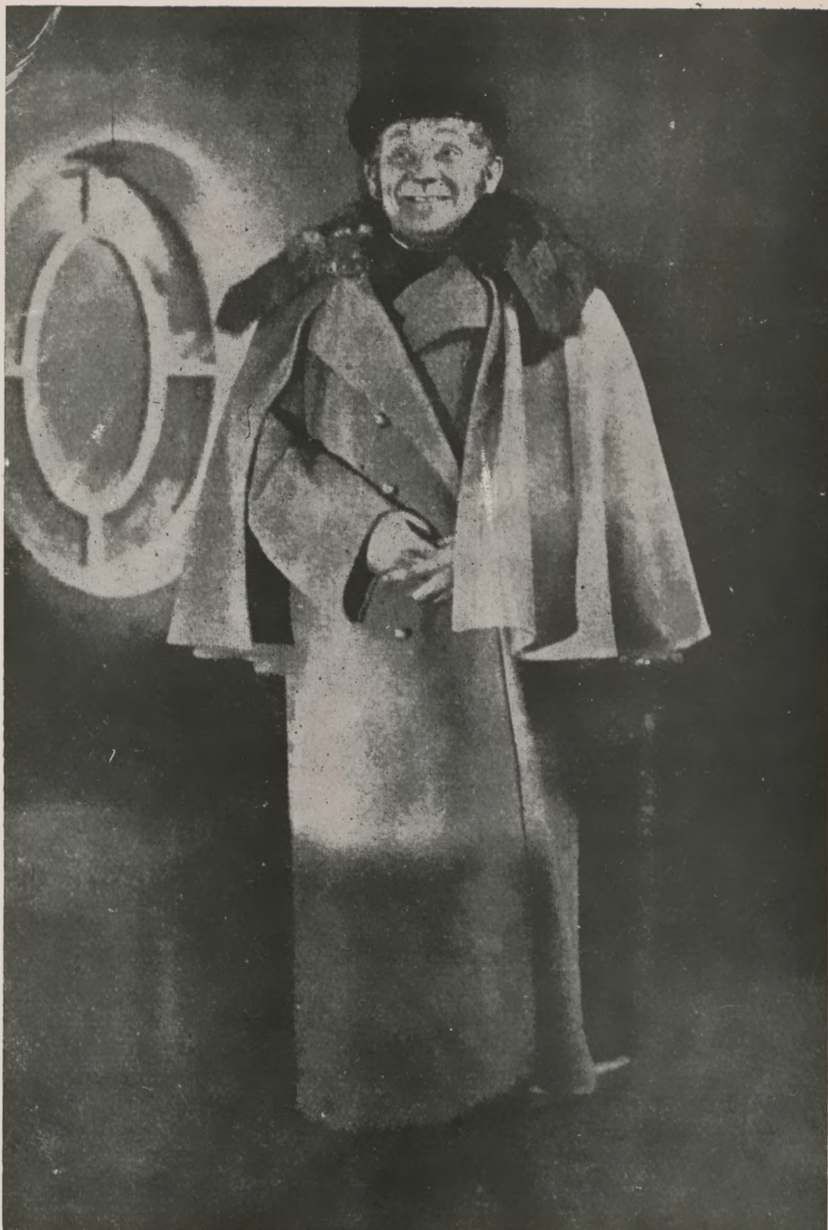
— Jam jest grzesznik ów sławny,
pierwszy rodzic Adam.

Przed Wami, nabożni widzowie,
tu stawam —

nie z warg płynęło wyznanie grzesznika. Był to naprawdę i grzesznik, i sławny, i pierwszy i rodzic. I był to równocześnie nabożny żak krakowski, który robi to przedstawienie ku zbudowaniu wiernych w okresie Wielkiego Postu. I był wreszcie Jaracz. Był to człowiek poza czasem i poza przestrzenią, który cierpiał nad swym upadkiem.

A widownia była nabożnymi widzami, którzy współprzeżywali to pierwsze cierpienie i wychodzili z teatru, jak chciał Arystoteles, oczyszczeni przez katharsis.

Mówiąc o teatrze, jak wogóle o sztuce, chce się wszystko lokować w jakichś kierunkach, szkołach. Teatr miał realizm, naturalizm, impresjonizm, symbolizm, schillerowski monumentalizm i neo-realizm, ale Jaracza, mimo jego kolejnych zapałów do każdego z tych kierunków, trudno umieścić w jakiejś klatce. Szkoła przeżywania była mu najbliższa, ale to też niewiele mówi, bo przeżywanie Jaracza wychodziło daleko po za mniej lub więcej podobne do życia przeżywania postaci teatru naturalistycznego. Umiał on zejść w takie głębokie duszy ludzkiej, że prawda idąca z nich przekracza to, co widzi się w naturze. Przeżywanie Jaracza sięgało głębi metafizycznych, na których złudza indywidualności znika, a wszystko staje się jednością. Z zapałem słuchał, gdy opowiadałem mu, że nowa fizyka dochodzi do tych właśnie głębi, gdy zbliża się do zagadnienia elektronu. Sam też zaraz zauważył, że coś podobnego dzieje się w sztuce.



Jaracz jako Baszmaczkin
w "Płaszczu" Gogola

Ze zdaniem jego prawdziwa sztuka zaczyna się dopiero na tych głębiach, na których kończą się naturalistyczne fotografie indywidualnych rzeczy.

W tych głębiach jego duszy leżała też Polska. Nie znosił wrzasków na jej temat i sam nigdy prawie o niej nie mówił. Samo przez się rozumie się, że wszyscy jesteśmy jej częścią i że ona jest ponad wszystkim, więc po co o tem mówić. Dlatego też po naszej klęsce w trzydziestym dziewięćty roku nic nie powiedział. Ale zupełnie cicho, przed samym sobą tylko, złożył przysięgę, że nie weźmie do ust kieliszka wódki i nie zapali papierosa, póki nie zobaczy w wolnej

Polsce wolnego polskiego żołnierza. Powiedział o tem skromnie tylko najbardziej zaufanym. I do końca swego życia nie zapalił papierosa i nie wziął kieliszka wódki do ust.

Niemiecka strategia jeszcze raz tryumfuje. Przegrawszy wojnę, wygrawa ją. Gdy trzeba, by dostać z Ameryki większe przydziały żywności, przerzuca się na demokrację, gdy trzeba, by uniknąć sowieckich przesładowań, przerzuca się na komunizm, gdy trzeba będzie, wróci karnie w faszystowskie kohorty nowej dyktatury — a polska kultura, po piekłach obozów koncentracyjnych, które Jaracz poznał w Oświęcimiu, wymiera.

JAN LECHOŃ

GODZINA PRZESTROGI

SCENA Z DRAMATU

AKT III

(Na scenie teatru Krakowskiego r. 1945 po przedstawieniu, przed północą. Już uprzątnięto dekoracje, aktorzy i maszyniści rozchodzą się powoli. Zostało ich tylko paru i Karol, dyrektor teatru).

KAROL (do Sekretarza):

Jutro wszystkie Pan wzmianki da do załatwienia.
Niech Pan styl ich podrabia, jak tylko Pan umie.
I tak przecież się zaraz każdy dorozumie
A inaczej nam cenzor wszystko poprzemienia.

(do elektrotechników)

Gasić światło panowie! A jutro czytana!

WOŹNY (do zbliżającego się Konrada)

A Pan kogo uważa?

KONRAD (do Karola)

Ja właśnie do Pana!

KAROL

Pozwoli Pan na górę. Tutaj zaraz gaszą
I przytem djabło zimno. Co za czas fatalny!

KONRAD

Co do mnie, przyznam szczerze,
chłody mnie nie straszą
A przytem, jeśli można, chcę być niewidzialny.

KAROL

Więc dobrze! Ale najpierw
"Z kimże mam przyjemność?"

KONRAD

Pan ma pamięć tak świetną. Niech ją Pan wyteży!
Zapadła wieś na Litwie. Jak teraz, jest ciemność.
To właśnie ja przyszedłem do jednego z księży.

KAROL

Tak teraz o żart trudno, że szczerze się bawię.
Więc to Pan? Jak mi miło! Witam cię Gustawie!
I nie chcąc Twego czasu drogiego nadużyć
Choć musiałeś niezwykle przechodzić koleje
Nie pytam Cię, jak chciałbym:

"Co się z Tobą dzieje?"

Lecz zaraz, prosto z mostu: "Czem Ci mogę służyć?"

KONRAD

Z odpowiedzią, doprawdy, nie będę mieć biedy.
Jest to cytat poprostu z mej znanej tyrady
Więc powiem teraz Panu, co mówiłem wtedy
Staruszkowi w pustelni:

"Wróć nam, wróć nam "Dziady".

KAROL

Niczego nie chcę bardziej. Ciągłe o tem marzę.
Narazie pozwolili dać w repertuarze.
Ale widzisz: Minęło już sto lat z okładem,
Odkąd drogi Gustawie stałeś się Konradem

I różnych takich rzeczy przybyło na świecie,
Przy których Nowosilców jest niewinne dziecię.

KONRAD

Widzę, żeś mnie nie pojął, drogi przyjacielu,
I nie wierzysz, że byłem ciągle między Wami,
Że jestem duch, jak w "Dziadach"

albo jak w "Weselu"

I żem dostał się tutaj zamkniętymi drzwiami.
Skąd idę? To na teraz sprawa zbyt zawiła.
Powstałem, tak jak wszystko na dwa słowa:
"Stań się!"

Wysłała mnie tu do Was tajemnicza siła
Co się nigdy na żadnym nie zjawi seansie,
O której się niewiele śniło filozofom
Bo tak bardzo jest prosta, wystarczy w nią wierzyć:
Ktoś wieki może przetrwać dzięki paru strofom
I dzięki paru nutom wielkie państwa przeżyć.
Coś temu podobnego i ze mną się stało
Widzisz przecie żem żywa i zwykła osoba.
Dotknij tylko mnie mocno: czujesz żywe ciało!
Lecz mówię Ci: przepadnę, gdy mi się spodoba.

KAROL

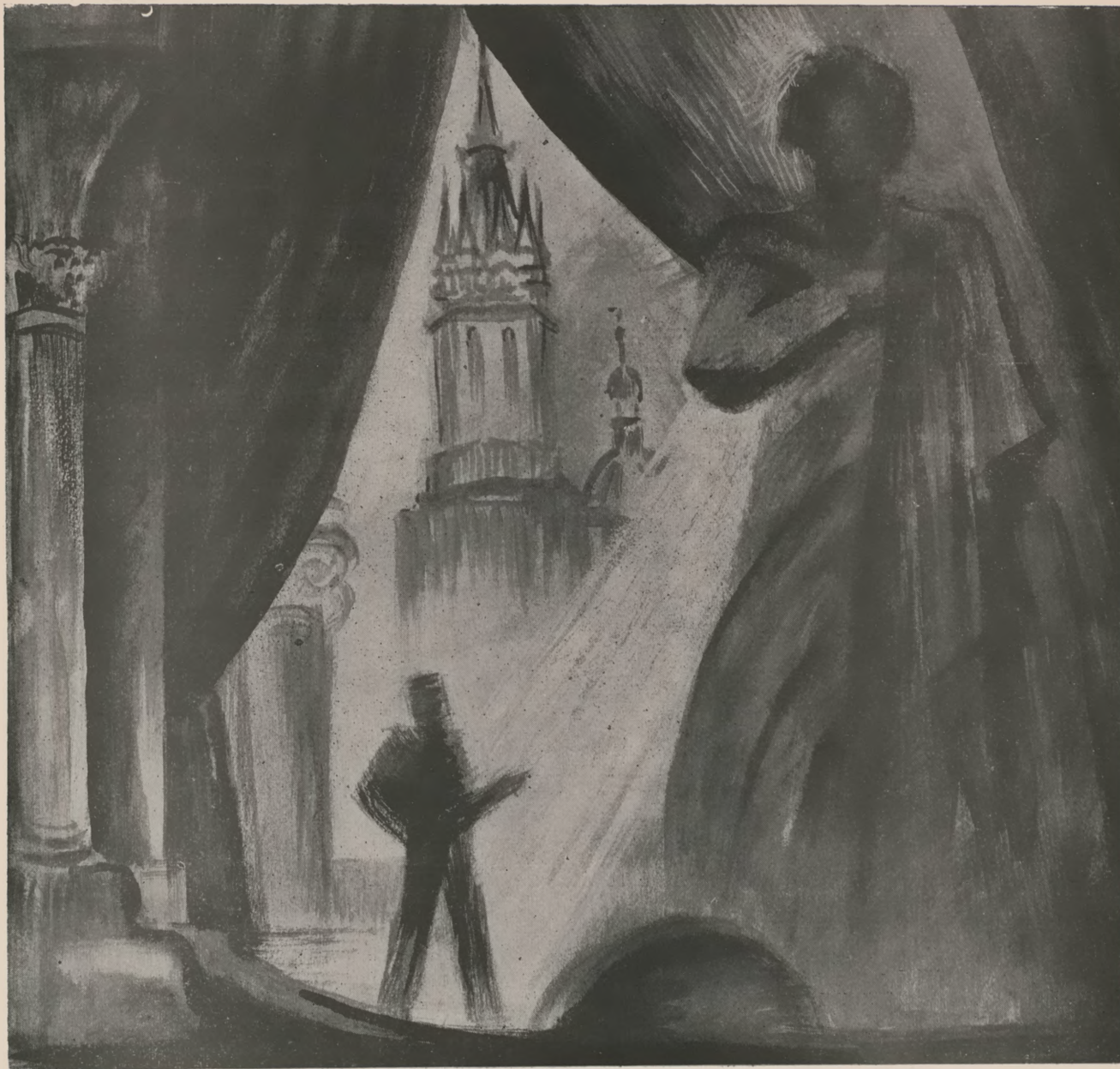
Trochę jest to dziwaczne, przyznam Ci się szczerze
Lecz teraz tyle grobów. Nie widzę sposobu
By teraz właśnie zmarli nie wstawali z grobu.
Ja znałem Wyspiańskiego. Więc prawie Ci wierzę.

KONRAD

Teraz czuję naprawdę, żem wrócił do domu
Te ściany, sufler w budce — to druhowie moi.
Jakże do Was tęskniłem, idąc w blaskach gromu.
To dobrze, jak to dobrze, że ten teatr stoi!
Słychać kroki spóźnione. I chwila się zbliża,
Kiedy zegar uderzy u Świętego Krzyża
I wszystko to, co za dnia gwar czyni i dąży
I szumi, wszystko żywe w mroku się pograży.
A to, co niema ciała, bo jest sztuką czystą,
To, co jedno jest tylko prawdą oczywistą,
Czemu czas ani życie granic nie zakreśli,
Niepodległe zniszczeniu, bo zrodzone z myśli.
Z marzeń ciała wysnuje i wybierze sobie
Jakich będzie mu trzeba strojów w garderobie.
Będę czekał tu teraz aż zegar uderzy
I wejdzie ten, co w grobie na Wawelu leży.

KAROL

Cóż to, drogi Konradzie? Znowu te tradycje?
Myślałem, żeś tu przyszedł głosić rzeczy nowe.
Wybacz mi niepoprawną moją erudycję
Lecz chciałbym Ci Twą własną przypomnieć
rozmowę
Tys to przecież rozpełtał patetyczną chimurę,
Z której burza bezwzględnie papierową siekła



Rys, Irena Lorentowicz

I tych, co chcieli uciec od sumienia piekła
 Jakgdyby pod parasol — pod literaturę.
 Tyś powiedział nam pierwszy "Bije Wam do głowy"
 Z poezji romantycznej — zimny wiew grobowy"
 I nawet Ci w tym miejscu zrobiono owacje
 (Pamiętam, bo to były moje dekoracje)
 Gdybyż w naszym szaleństwie

choć rozsądku szczypty
 Możeby się męczeństwa czas naszego skrócić!
 I oto widzę teraz, żeś poto powrócić
 Ażeby sam zaglądać pod wawelskie krypty.

KONRAD

Znasz tylko pół mej myśli!
 ..(słychać nagłe brawa)

KAROL
 Skąd ten szum?

KONRAD
 ..Oklaski..

KAROL
 Lecz przecież sala psuta...
 ..KONRAD
 ..Czy widzisz te maski?

W każdym kącie jest jakaś w swej czarnej oponicy.
 Człowieku małej wiary! Teatr się nie kończy
 Gdy odpływa publiczność, susler z budki znika.
 To estetyzm zbyt łatwy!
 ..(Słychać cichą muzykę)

KAROL
A to co?
KONRAD

Muzyka!

Ta sama, na dźwięk której zlatują się duszki.
Poprostu stara, rzewna melodia Moniuszki.
Ta sama, którą zawsze w "Wyzwoleniu" grali.
Czy chcesz innych dowodów? Bo może w tej sali
Nagle się zapach malin rozleść niespodzianie
I żywa Balladyna tu przed Tobą stanie
Albo też Lady Macbeth w swej szacie królewskiej.
I usłyszysz, że mówi głosem Modrzejewskiej,
Ujrzysz szafę z "Kordjana".

Wiesz, ta wzmianka mała:
"A gdzież się owa piękna Angielka podziła?"
Czy widzisz maski w kątach?

KAROL
...Tak. To oczywiście!
Gdzie inspicjent? Niech biegnie zbudzić altarystę.

KONRAD

Wstydź się, Panie Karolu! Ciebież to przeraża,
Który wiesz jak nasz rozum jest ślepy i kruchy?
Myślałem, że masz więcej danych na Guilara.
To dyrektor teatru a nie wie co duchy.

KAROL

Raz po raz jakaś maska gdzieś z kąta wyrasta.

KONRAD

Niech czekają! Dopiero za kwadrans dwunasta!

(Koniec sceny Iszej aktu III-go.)

LUDWIK BERGER

SOWIETYZACJA POLSKI

Istotny sens sowietyzacji gospodarczej wypływa w tej chwili w Polsce nie tyle z ograniczeń praw własności, ile z kompletnego włączenia gospodarstwa polskiego w skład ekonomiki sowieckiej. Włączenie Polski w ekonomikę sowiecką następuje w szybszym o wiele tempie, niż można to było przewidzieć. W tych naszych rozważaniach pragniemy oprzeć się na oficjalnych wypowiedziach przedstawicieli administracji warszawskiej, dotyczących polityki kredytowej w Polsce i polskiego handlu zagranicznego. Oba czynniki gospodarcze, o których mowa, rozstrzygają o zakresie produkcji i spożycia w kraju i o łączności towarowej i płatniczej z zagranicą. "Minister skarbu" administracji warszawskiej Dąbrowski oświadczył na konferencji w dniu 9 sierpnia br., że w Polsce zniesiona zostaje działalność banków prywatnych, a działać mogą wyłącznie banki państwowe, względnie uzupełniające je instytucje komunalne i spółdzielcze, których zadaniem ma być realizowanie polityki kredytowej i monetarnej, nadawanej przez administrację państwa. Znamienne jest w tym programie polityki kredytowej zniesienie kas oszczędności miejskich.

Nie trudno przewidzieć zakres pracy upaństwowionych banków w Polsce. Praktyka sowiecka wskazuje na metodę finansowania planów produkcji w przemyśle przez banki branżowe, zaś w rolnictwie i handlu rolnym przez organizacje kredytu spółdzielczego. Rozróżnienie między kredytem w przemyśle a kredytem dla rolnictwa polega głównie na tem, że działające w sektorze wiejskim spół-

dzielnie kredytowe są równocześnie centralami odbioru kontyngentów produkcji rolnej i terenowymi wykonawcami planu rolnego. Z dotychczasowych informacji nadchodzących z Polski wiemy, że rolnikom wyznaczono kontyngenty produkcji, które w okresie przejściowym są odbierane przez oddziały spółdzielni "Spółem" względnie przez Państwową Centralę Handlową. Przekazanie tym instytucjom funkcji kredytodawczych dla wsi będzie dokładnym skopiowaniem wzoru sowieckiego.

Ze wspomnianej wypowiedzi Dąbrowskiego wynika także i wskazówka co do polityki monetarnej w Polsce. Administracja warszawska uważa pieniądź za walutę wewnętrzną, niezwiązaną ze sztandarem złota i niewymienialną na dewizy. "Tymczasem waluta nasza jest walutą zamkniętą. Nie mamy zamiaru wypuszczać jej na teren międzynarodowy" powiedział Dąbrowski. Ponieważ jednak Polska, podobnie jak każdy inny kraj, nawet najbardziej egzotyczny i najbardziej samowystarczalny, musi utrzymać relację cen towarów pomiędzy swym rynkiem wewnętrznym a rynkiem światowym — zapowiada administracja warszawska doraźne ustalanie relacji wewnętrznej waluty polskiej do walut zagranicznych od wypadku do wypadku.

Co to wszystko znaczy?

Upaństwowienie bankowości oznacza od strony polityki kredytowej zupełne podporządkowanie produkcji w przemyśle i w rolnictwie czynnikiowi administracyjno-państwowemu. Natomiast od strony polityki monetarnej wprowadzenie "waluty wewnętrznej"

bez określonej relacji do pieniądza zagranicznego oznacza metodyczne realizowanie programu dekapitalizacji. Stąd to nie utrzymuje się nawet miejskich kas oszczędności jako instytucji, które w trakcie realizowania systemu dekapitalizacji są oczywiście zbędne. Upaństwowienie kredytu to dalszy krok upaństwowienia bankowości. Wprowadzenie "waluty wewnętrznej" to najdalszy krok w regulowaniu dochodu społecznego przez wolę administracji. Nic dziwnego, że, po myśli zapowiedzi przedstawiciela administracji warszawskiej, "wewnętrzna waluta" w Polsce ma być walutą manipulowaną. Przedstawiciel administracji warszawskiej powiedział: "Równowartość ustalać będziemy dla poszczególnych transakcyj doraźnie". Oznacza to, że jeśliby nawet Polska miała możność na skutek dobrej woli zagranicy otrzymania po cenach niskich pewnych ilości towarów pierwszej potrzeby, to przy stosowaniu "manipulowanej relacji waluty wewnętrznej" cena importowanych towarów będzie wyznaczana przez administrację w sposób polityczny, tzn. w taki sposób, by dla pewnych sfer towar przysyłany z zagranicy był niedostępny, zaś dla sfer uprzywilejowanych tani.

Metodę manipulowania kursem waluty stosowały Niemcy. Przez ustalanie zmiennego kursu pomiędzy marką a walutami krajów podbitych, przeprowadzały Niemcy eksploatację uzależnionych od siebie gospodarstw, stosując wysokie ceny na podporządkowanych sobie sposobem kolonialnym prowincjach a niskie ceny na rynku własnym. Dla sprawnego wy-

konania planu pauperyzacji kraju podbiego musi kraj podbijający narzucić gospodarstwu eksploatowanemu monopol handlu zagranicznego. W Polsce wprowadzono monopol handlu zagranicznego.

Na wzór sowieckiego Wniesztorgu ma być cały towar przywożony i cały towar wywożony z Polski scentralizowany w jednej komórce administracyjnej. Świadomym łudzeniem się byłoby przypuszczenie, że wprowadzony w Polsce monopol handlu zagranicznego oznacza tylko zmianę ustroju w gospodarce polskiej. Oznacza on o wiele więcej. Oznacza on włączenie Polski jako części składowej w organizm administracyjno - gospodarczy ZSRR.

Monopol handlu zagranicznego w Polsce nie jest dziś w stanie i nie będzie w stanie w przyszłości współpracować z jakimkolwiek gospodarstwem zagranicznym poza Sowietami. Przedewszystkiem sam system monetarny, wyłączający pieniądź polski z międzynarodowego obrotu dewizowego, stanowi zasadnicze utrudnienie w przywozie z zagranicy. Już w dzisiejszych sprawozdaniach z produkcji metalurgicznej w Polsce podaje się, że wyniki osiągają od 65 do 70 kilku procent planu z powodu braku surowca. W tym wypadku surowcem brakującym jest ruda żelazna, albo też któryś z metali kolorowych niewydobywanych w kraju. Na brak rudy żelaznej wskazuje statystyka wyrobu surówki. Dla produkcji surówki potrzebna jest ruda. Rudę kupuje się za dewizy. Gospodarstwo polskie nie ma dewiz. Dlatego też widać brak surowca w przemyśle włókienniczych, częściowo w papierniczym, hutnictwie żelaznym, w produkcji stali gatunkowej, w całym przemyśle metalurgicznym przetwórczym, w przemyśle farmaceutyczno-chemicznym, elektrotechnicznym itd.

Brak surowca w głównych gałęziach polskiego przemysłu jest w obecnej sytuacji zrozumiałą. Normalny przywóz surowcowy do Polski wykazywał według wielkości tonażu i wartości następujące pozycje: bawelna, wełna, maszyny, aparaty, sprzęt elektrotechniczny, środki transportowe, surowce metalowe, przetwory farmaceutyczno-chemiczne. Polska skazana dziś na zastąpienie całej swej zagranicznej wymiany towarów handlem z Sowietami, nie może oczywiście importować surowców i produktów według programu swego zapotrzebowania, lecz musi wywozić względnie przywozić towar stosownie do planu wewnętrznego-gospodarczego Sowietów. Tym sposobem następuje w szybkim tempie dostosowywanie

JANINA WADWICZ

Wierszyk wełniany

*Wierszyk ci piszę wełniany na jesień,
żeby ci było ciepłutko.
Już październik wiatrem się niesie,
zimno już idzie cichutko — cichutko.*

*Jakieś tam kwiaty są jeszcze na dworze,
Ciepłej przędzy syją matki.
Dzwonią nożyce w oborze
To kwitną owce w filcowe szarotki.*

*Co o miłości ci pisać, Kochany?
Tak prosto ci to wyłożę!
Wierszyk ci piszę wełniany,
Bo dzisiaj zimny był ranek na dworze.*

całej gospodarki przemysłowej i rolnej w Polsce do planu gospodarczego Sowietów.

Przemysł i rolnictwo w Polsce może wytwarzać wyłącznie te towary, które mieszczą się w programie ewentualnego sowieckiego przywozu i które nie kolidują z programem ewentualnego sowieckiego wywozu do Polski. Z jak wielką rewolucją gospodarczą mamy tu do czynienia, z jak daleko idącym przełamaniem całej konstrukcji polskiej ekonomiki, świadczy najlepiej stwierdzenie sowieckiego autora M. Bałtyjskiego, który w Nr. dwutygodnika "Wojna i klasa pracująca" (z 15 stycznia 1944) w artykule "Polska nasz sąsiad" ujął normalny przedwojenny obrót polsko-sowiecki w jednym zdaniu: "Cały obrót handlowy Polski z Związkiem sowieckim stanowił około pół procent ogólnego obrotu handlu zagranicznego Polski!" Dziś w miejsce tej półprocentowej wymiany polsko-sowieckiej, następuje stuprocentowa, totalna, nie tyle wymiana, ile afiliacja gospodarki polskiej do Sowietów.

A gdyby ktoś chciał dbroduszenie się ludzić i przypuszczał, że Sowiety zastępując sto procent przedwojennej polskiej wymiany towarowej z zagranicą, nie muszą konieczności przełamać gospodarki polskiej — to należy przypomnieć, że Sowiety uprawiają programowo samowystarczalność. —

Powiedzieliśmy, że zmonopolizowanie handlu zagranicznego Polski i zastosowanie w Polsce systemu "pieniądza wewnętrznego" całkowicie afiljuje gospodarkę polską do gospodarki sowieckiej. Niestety jednak afiliacja ta nie następuje na warunkach równych. Gospodarca sowieckiego wymaga obniżenia standardu życia i produkcji w Polsce po-

nżej przeciętnego standardu w Sowietach. Wystarczy sobie zdać sprawę, że wielkie wydobycie węgla w Polsce zmusi administrację kraju do usunięcia z budżetu środków na pokrywanie kolejowego transportu węgla przez tysiące kilometrów, bo do ukraińskich ziem sowieckich — by zrozumieć, że eksport surowca masowego z Polski do Sowietów stanowić będzie jedno z największych obciążeń gospodarki polskiej. Przedwojenny eksport węgla korzystał w przeszłości 70 procentach z transportu morskiego. Mimo to budżet państwa dokładał znaczne sumy do kopalnictwa węgla przez przyznawanie tzw. refakcyj frachtowych do portów. Dziś linja niżkowego frachtu przedłuża się kilkakrotnie. Natomiast odpada możliwość uzyskania dewiz za węgiel.

To samo dotyczy importu surowca z Sowietów do Polski. Zastąpienie rudy szwedzkiej rudą Krzywego Regu oznacza niepomiarne zwiększenie kosztów zakupu rudy z tytułu nienaturalnie długiego transportu lądem. Tym sposobem produkcja przemysłów kluczowych w Polsce znajdzie się w warunkach niesprzyjającej kalkulacji przy wywozie i przywozie. Wyrównania kalkulacji będą szukały upańswiołone przemysły w podwyżce cen towarów na rynku wewnętrznym i w obniżce płac robotniczych.

Włączenie gospodarki polskiej do systemu gospodarki sowieckiej to nie tylko kwestja prawa własności. To kwestja sprymitywizowania ustroju ekonomicznego Polski w ten sposób, by był to ustrój uzupełniający ekonomikę sowiecką na warunkach niższego standardu życia i niższego standardu produkcji od standardu w Sowietach. Sowietyzacja Polski jest jej proletaryzacją!

MICHAŁ CHOROMAŃSKI

NOWE NOCE LISTOPADOWE

Dokończenie

PAN BEZ KOŁNIERZYKA — biorą wszystkich... inżynierów... lekarzy!... od szesnastu lat do sześćdziesięciu!... wszystkich... — (Zamierają. Urszula znowu szybko uchyla drzwi, wołając 'Tutaj, tutaj!'. Wbiega starsuszek, trzymając w rękach okulary, na plecach zamiast kurtki ma pled).

STARUSZEK — już są za rogiem!... — (Kroki słychać teraz niemal bez przerwy, jezdnia i chodnik dudnią. Urszula już nie zamyka drzwi, lecz stoi w progu i zapraszając ruchem ręki, powtarza: 'Tutaj! tutaj!' Ktoś wbiega, ale cofa się natychmiast. Potykając się wpada do pokoju wysoki, chudy jegomość, jedyny ze wszystkich jako tak ubrany. Biegnie ku drzwiom na prawo, ale Górski zatrzymuje go. Wtedy pan z paltem zrywa się nagle.

PAN Z PALTEM — puście mnie! Ja mam przecucie śmierci!... Ja w tym domu nie zostanę?

SWIDRZYŃSKI (macha na niego rękami.) — Niech pan siedzi!

PAN Z PALTEM — nie macie prawa mnie zatrzymywać! Zdążę przebiec na drugą stronę ulicy! Tam bezpieczniej!...

GORSKI — niechże pan nie krzyczy!...

PAN Z PALTEM (niepomny siebie.) — Ja mam przecucie śmierci!... — (Szamocze się w objęciach Górskiego, który nagle wypuszcza go z ramion).

GORSKI — to niech już idzie!...

PAN Z PALTEM — (podbiegając do Urszuli stojącej we wręce). — Tam!... przez ulicę!... A potem w stronę Wisły... Niech mnie pani puści. — (Urszula otwiera drzwi, pan z paltem wybiega, Urszula patrzy w ślad za nim przez szparę, słysząc kroki, a potem ostry gardlany okrzyk: Haalt!... znowu kroki i raz po raz dwa wystrzały. Wówczas Urszula zaryglowuje drzwi.

URSZULA — (spokojnie) Już... Panowie wyjdą. Dziadku, zaprowadź do narożnego!... — (Wychodzi ra środek pokoju. Mężczyźni tłoczą się w drzwiach na prawo). — Proszę nie uciekać zawczasem. Dopiero, gdy dam sygnał. — (Rozgląda się.) — Jak przewrócę to krzesło... — (Do Górskiego) — A pan wyskoczy zaraz!... — (Górski kiwa głową i wychodzi do kuchni. Pozostaje w pokoju tylko stary Swidrzyński. Urszula niecierpliwie.) — Dziadku, wyjdź.

SWIDRZYŃSKI — nie, ja zostanę z tobą.

URSZULA — (jeszcze niecierpliwiej). — Dziadku, wyjdź!... — (Przerwa). — Nie przeszkadzaj mi! Wolę być sama!... — (Swidrzyński przez chwilę ogląda ją, jakby coś sobie przypominając, od stóp do głów, potem cicho cofa się tyłem i znika w drzwiach na prawo. Jednocześnie ktoś kolbą uderza w drzwi wejściowe. Urszula chwiejąc się na nogach podchodzi do kanapy i opada na nią. Rozlega się ponowne uderzenie kolbą. Twarz Urszuli nagle zaczyna się rozlazic, raz po raz przechodzi po niej jakiś skurek, i oto już nie panując nad sobą zupełnie, Urszula zaczyna bezdźwięcznie szlochać. Usta ma szeroko otwarte, łzy ciurkiem ciekną po zniekształconej twarzy. Za drzwiami rozlega się brutalny gardlany krzyk: 'Oeffnen!' — ale chaos łkań, przemęczenia i strachu trwa na bezbronnej twarzy młodej dziewczyny. I dopiero gdy okrzyk 'Oeffnen!' rozlega się ponownie, Urszula — chociaż wydaje się to niemal nieprawdopodobne — opanowuje się, i ręką ściera ze swej twarzy — łzy i słabość. Powtarza szeptem 'Marmur... Marmur!!!'... Potem wstaje spokojnie, zarzuca swym zwyczajem szal na ramię i podchodzi ku drzwiom. Teraz twarz jej i cała postać są doprawdy z marmuru).

URSZULA (trzymając w ręku lampkę). — Kto tam?

GŁOS ZA DRZWIAMI — Oeffnen sofort!... — (Urszula otwiera drzwi i do pokoju, postukując obcasami wchodzi dwóch niemieckich wojskowych. Są w grubych butach, szynelach szaro niebieskiego koloru podpasanych szerokimi pasami, z pod brązowych kołnierzy wystają swetry, na czapkach o szerokich rondach widnieją czaszki i piszczele, skrzyżowane piszczele i czaszki widnieją na piersi, w rękach trzymają: żołnierz — karabin, oficer — rewolwer. Obaj są różowi, zdrowi, wypasieni).

LEUTNANT — wer ist hier versteckt?

URSZULA — nie rozumiem.

LEUTNANT — (grubiańsko). — Polnische Offiziere, he?

URSZULA — nie rozumiem.

ZOŁNIERZ — Sie versteht nicht.

LEUTNANT — (z władczym gestem.) — Haus durchsuchen! — (Żołnierz chce iść ku drzwiom kuchni, leutnant rozgląda się i już Urszula chwyta za oparcie fotela gotowa łada chwila go wyrzucić).

URSZULA — bardzo powoli, z trudem). — Hier... — (żołnierz przystaje. Urszula wskazuje drzwi na prawo). — ...wohnt von Krieger...

ZOŁNIERZ — was bitte?

URSZULA — Herr von Krieger schläft im diesen Zimmer.

ZOŁNIERZ — von Krueger?

LEUTNANT — kann das sein?

ZOŁNIERZ — (uderza się po łbie, jakby przypomniał sobie o czymś.) Oh!... Jawohl!... — (Pochyla się i szeptem coś do ucha oficerowi).

LEUTNANT — ah so?... — (Uśmiecha się, spoglądając na pościel w śladzie, na szlafrok i gołe nogi Urszuli. Przykłada palec do czapki).

— Verzeihen sie bitte, Frauein!... — (Póklepując pościel ręką i głaszcząc jedwabną kołdrę.) — Weisses Bett!...

— (Idzie ku wyjściu. Żołnierz zawiesiwszy karabin na ramię, idzie w ślad za nim. Nagle oficer zwraca i wyjmując z kieszeni słowniczek. Szpera w nim, po chwili odnajduje potrzebne słowo i sylabizuje:)

— Kochoas? — (Urszula milczy. Nagle oficerowi robi się nieswojo. Szpera w słowniczku poraz drugi.)

— Ri-ba!... Zimna ri-iba!... Kalter Fisch! — (Żołnierz zarykuje się śmiechem. Obaj odwracają się i wychodzą. Wtedy Urszula zamyka drzwi. Z prawej wchodzi Swidrzyński, za jego plecami widać głowy przybladłych mężczyzn).

URSZULA — Panowie!... — (Swidrzyński i dwóch mężczyzn wchodzi). — Poszli, ale trzeba trochę odczekać. — (Rozlega się dźwięk motoru samolotowego. Urszula zagląda do drzwi na prawo.) — Proszę przez okna się nie wychylać!... — (Jednocześnie z kuchni wychodzi Górski. Urszula ściągając brwi.) — Jaki? Pan nie wyskoczył?

GORSKI — czekałem, co oni z panią zrobią.

URSZULA — dziękuję. — (Dźwięk motoru zamiera w oddali). — Zda się, że pojechali.

PAN BEZ KOŁNIERZA — to nie nie znaczy, mogą zaraz wrócić. — (Ktoś puka do drzwi z ulicy. Słychać kobiecy głos:) To ja, proszę otworzyć!...

GRUBY PAN — to moja żona!... — (Podbiega do drzwi i razem z Urszula odsuwa rygiel. Do pokoju wbiega zdyszana gruba pani, owiązana chustą).

KOBIETA — gdzie Adaś?... — (przytula do siebie syna).

CHŁOPAK — ależ mam, nie się nie stało, ja się zupełnie nie przestraszyłem!...

SWIDRZYŃSKI — dużo zrabali? KOBIETA — z naszej kamienicy prawie wszystkich. Przyjechali ciężarówkami!... Adaś zaraz się przebie-

iesz i pójdziemy do cici... — (Objmując go wyprowadza. W drzwiach na chwilę przystaje i zasłania mu oczy rękami.) — Nie patrz tam, nie patrz!...

PAN BEZ KOLNIERZA — (wychodząc za nimi.) — O... jeszcze tam ży!

GIOS KOBIETY (już z ulicy.) — Nie pozwolili zabrać trupa!... — (Przymykają za sobą drzwi)

URSZULA (do pozostałych.) — Panowie, proszę wychodzić po jedncmu. — (Sciskając jej ręce i dziękując, mężczyźni wychodzą. Gdy drzwi za ostatnim się zamknęły, Górski rozsława firanę, w pokoju robi się jasno, światło lampki błędnie. Górski wygląda przez okno. Już się rozwidniło zupełnie, w szarem niebie za drzewkiem widać niebieskawą wy-

GORSKI — mówią, że pocisk dwa razy do tego samego leju nie trafia... Najlepszy czas żeby pójść.

URSZULA (dając mu paczuszkę.) — Ma pan tu trochę jedzenia na drogę.

GORSKI — dziękuję.

SWIDRZYNSKI — jeżeli pana zatrzymają, wie pan co powiedzieć? Idzie pan na fabrykę na robotę. Pan której chce?

GORSKI — pojedę po prostu tramwajem.

SWIDRZYNSKI — jabyń sam tak zrobił.

URSZULA — (pokazując przez okno.) — Wyjdzie pan przez kuchnię i tędy — naprzelaj. Skrótem najbezpieczniej, przez pola.

GORSKI (podając rękę Swidrzyńskiemu.) Bóg zapłać.

SWIDRZYNSKI — niema zaco.

GORSKI — (ściskając dłoń Urszuli.) — A o pani ja zamelduję.

URSZULA — sześć Boże, panie kapitanie. — (Górski kłania się, wypreża się po wojskowemu i wychodzi na lewo. Urszula z dziadkiem pozostają w oknie. W pewnej chwili widocznie zobaczyli Górskiego, kiwają głowami, a Urszula drobnymi krzyżami zaczyna go żegnać. Potem zatykają, wyciągając szyje coraz bardziej.) — Idzie

SWIDRZYNSKI — pha, nogi ma jak nożyce, tak i tnie!... Przelazł przez płot.

URSZULA (z nagłym niepokojem.) — Na miłość boską, zatrzymał się!...

SWIDRZYNSKI — (po przerwie.) — Nie... kłania się...

URSZULA — (z ulgą.) — Poszedł!... — (Odwracają się od okna, jakgdyby nigdy nie. Urszula gasi niepotrzebną lampkę, dziadek bierze z konsolki talję kart, siada wygodnie przy stole i stawia pasjans. Urszula nalewa sobie herbaty i niemal duszkiem wypija).

SWIDRZYNSKI — nie tak dobrze w takich wypadkach nie robi, jak pasjans. Chociaż babkę swoją to bardzo drażniło.

URSZULA — dziś przez chwilę miałam wrazenie, że ona jest tutaj... z nami...

SWIDRZYNSKI (odwraca głowę i przypatruje się wnuczce, jakby znów usiłując coś sobie przypomnieć.) — Może... — (Pochyla się z powrotem nad kartami.) — Wiesz, pewnego razu przyszli do nas żandarmi, akurat kiedy u nas się chował...

URSZULA (przerwywając.) — Opowiadałeś mi już dziadku, tyle razy opowiadałeś. — (Nagle odstawia na bok filiżankę. Z widocznym wstrętem

i zdziwieniem.) — Dziadku, nie wiem dlaczego, ale... mnie mdli.

SWIDRZYNSKI — (nie odwracając się.) — Nie wiem! — (Bardzo sucho, niemal szorstko.) — U innych to bywa ze zdenerwowania.

URSZULA (pośpiesznie.) — O nie... To od niesłodkiej herbaty.

SWIDRZYNSKI — (pochylając się przekłada karty z kupki na kupkę.) — Zamyśliłem, że jak wyjdzie, to już na wiosnę przegram wojnę.

URSZULA (pochylona nad nim.) — Tylko nie pomagaj sam sobie z nadto, nie pomagaj!

SWIDRZYNSKI — jako? przecież trzeba losowi pomagać! Samo się nie nie robi.

KRONIKA POLSKO-AMERYKAŃSKA

TEATR POLSKI W CHICAGO

W Chicago zorganizowany został niedawno Polski Teatr Objazdowy. Założycielami tej nowej placówki są pp. Władysław Cheromiński i Janusz Stryjewski, manager Teatru. Obaj zamierzają oprócz działalności artystycznej P. T. O. na miejscowych talentach polsko-amerykańskich, doszedzcy na podstawie dotychczasowych doświadczeń do wniosku, że talentów tych nie brak między tutejszą Polonią. W dalszych planach teatru również przygotowanie występów scenicznych w języku angielskim dla zaznajomienia Amerykanów tą drogą z pięknem sztuki polskiej. Na inaugurację występów teatru wybrano wielki dramat historyczny "Obrona Częstochowy", który dany będzie jesienią.

"COLLIER'S" O ZLOCIE POLSKIM

"Collier's" w numerze z dnia 15go września 1945, w artykule pt. "The Great Nazi Gold Rush" napisanym przez Sylwię Porter, przedstawia epopeję złota polskiego, wywiezionego we wrześniu 1939 z Warszawy do Rumunji, stamtąd do Syrii, z Syrii do Francji. Po upadku Francji złoto polskie przewieziono do Dakaru skąd w r. 1943 wysłane zostało do Ameryki w ilości 64 milionów dolarów. Znajdujące się obecnie w "safe'ach" New York Federal Banku na 33 Liberty Street.

ARTYKUŁ M. S. SZYMCZAKA

Chicagoskie pismo "The Burroughs Clearing House" w lipcowym i sierpniowym wydaniu drukuje bardzo ciekawy artykuł pióra Mieczysława S. Szymczaka, członka wydziału

gubernatorów Federalnego Systemu Rezerw Bankowych. Artykuł Szymczaka, według oświadczenia redaktora H. J. Boone "jest bezsprzecznie najbardziej dokładną i ciekawą historją finansowania drugiej wojny światowej". Wspomniany artykuł nosi tytuł "Federal Reserve in World War II". Przy opisie umieszczona jest dużych rozmiarów podobizna Szymczaka, o którym pismo powiada, że "ma on najdłuższy rekord w służbie".

ZGON ANTONIEGO ROGALSKIEGO

Zmarł znany artysta rzeźbiarz i malarz polsko-amerykański, Antoni Rogalski. Wystawiał on swoje prace w "Chicago Art Institute", a uczył w "Garibaldi Institute". Cieszył się on szczególnem uznaniem wśród Amerykanów, jako bardzo zdolny karykaturzysta.

POLAK PIKIETUJE SEN. BILBO

Edward Bykowski, marynarz-weteran, ranny na Pacyfiku postanowił pikietować siedzibę senatora Bilbo do czasu odwołania przez niego obraźliwych słów, rzuconych pod adresem Polaków, Włochów i Żydów. Duża część prasy amerykańskiej wyraziła mu uznanie za ten czyn odwagi i charakteru. "Tygodnik Polski" przyłącza się do życzeń należnych Edwardowi Bykowskiemu za jego słusne wystąpienie.

WSZĘDZIE NASI

Dowiadujemy się, że przy produkcji bomby atomowej brał udział Polak, kpt. Wiktor L. Bogdziewicz, syn znanej działaczki, p. Eleonory Bogdziewicz, który jeszcze przed wojną służył w Korpusie Inżynierów Wojskowych.

OPINJE I ZDARZENIA

TYDZIEŃ POLITYCZNY

Konferencja ministrów spraw zagranicznych Wielkiej Piątki, odbywająca się w Londynie, natknęła na pierwsze trudności tuż na samym początku, przystąpiwszy do omawiania kwestji traktatu pokojowego z Włochami. Zainstalowany w Jugosławji, na skutek parcia sowieckiego, rząd Tita wysunął bowiem żądania terytorjalne, domagając się znacznego przesunięcia granicy Jugosławji w kierunku zachodnim, żądając dla Jugosławji całej prowincji Venezia Giulia z Triestem, Fiume i Gorycją, całej Istrii wraz z portem wojennym Pola oraz szereg dalmatyńskich wysp na Adriatyku łącznie ze strategicznie ważnymi: Lagosta i Pelagosa. Po za tem, ciężkim orzechem do zgryzienia staje się w Londynie sprawa kolonij włoskich w Afryce, zwłaszcza wobec ujawnienia pożądań Związku Sowieckiego, łaknącego Trypolitanji, niezależnie od żądania punktów oparcia na pobrzeżu afrykańskim morza Czerwonego. Dla W. Brytanji, jawne oraz zamaskowane, jako jugosłowiańskie, żądania rosyjskie wytworzyły sytuację niebezpieczną, dla St. Zjednoczonych również bardzo niewygodną. Jak na wszystkich tego rodzaju konferencjach dyplomatycznych, poszukiwana jest w Londynie "formuła", którą możnaby zakleić rysy i pęknięcia, już na wstępie widoczne. Dla zyskania na czasie, uchwalono wysłuchać opinji dodatkowej liczby krajów zainteresowanych, zapraszając w tym celu sowiecką Ukrainę i sowiecką Białoruś oraz "rząd warszawski", to jest trzech satelitów Związku Sowieckiego, formalnie niby niepodległych. Delegacja amerykańska proponuje kompromisowo przejęcie afrykańskich kolonij włoskich przez Wielką Piątkę, w charakterze powierników; jest to właściwie nowa forma kondominjalnego władania, które prędzej czy później doprowadzi do ostrych konfliktów. W każdym razie, liczyć się trzeba z tem, że kosztem Włoch, Rosja sowiecka w taki czy inny sposób, zdoła się usadowić także na kontynencie afrykańskim. Mimowoli nasuwa się przysłowie: kto sieje wiatr, zbiera burzę. Dyplomacja zaś wielkich mocarstw, jak dotąd, sieje wszędzie tylko wiatry.

W przewidywaniu, że na konferencji londyńskiej nastąpi — ze strony anglo-amerykańskiej — ostry atak na rządy agentur sowieckich rządzących w krajach basenu Dunajowego, w Sofji, w Bukareszcie i w Budapeszcie dokonywane są na gwałt drobne posunięcia, mające pozorować demokratyczne zamiary rządów narzuconych

narodom tych krajów przez dyplomację sowiecką. Wątpić można, czy te wszystkie, z pośpiechem dokonywane, w gruncie rzeczy, nikłe reformy i małoważne zmiany zdołają osłabić ostrość anglo-saskich ataków, albowiem idzie tutaj o obszary geopolitycznie i geostrategicznie arcyważne dla W. Brytanji. Strona sowiecka stara się odparować przewidywane uderzenia anglo-saskie występujące ostro przeciw rządowi regencyjnemu greckiemu, cieszącemu się poparciem brytyjskiem.

Podczas kiedy w Londynie, na konferencji dyplomatów Wielkiej Piątki, starają się rozbieżności interesów i poglądów zaklejać formułami w pobliskim Blackpole, na odbywającym się kongresie brytyjskich trade-unjonów, reprezentant Amerykańskiej Federacji Pracy — Meany wystąpił otwarcie, bez obłonek, używając słów wyraźnych, przeciw niebezpieczeństwu, zagrażającemu międzynarodowemu ruchowi robotniczemu przez umożliwianie t. zw. związkom zawodowym sowieckim dostępu do międzynarodowej organizacji związkowej. Meany przestrzegał przed dopuszczeniem sowieckich związków będących państwową organizacją pracy niewolniczej, do międzynarodowej organizacji wolnych związków zawodowych robotniczych, zapowiadając, że o ile brytyjskie trade-unjony dołożą ęki do realizowania sowieckich zamiarów rozciągnięcia kontroli nad światową organizacją robotniczą, wówczas dojdzie do zerwania bratnich stosunków pomiędzy American Federation of Labor a brytyjskim ruchem zawodowym. Wystąpienia Meany'a jest za powiedzią ostrzejszego zwalczania dążeń moskiewskich, zmierzających do opanowania, w każdym razie do kontrolowania światowego ruchu robotniczego.

Warszawskie kukły Moskwy ogłosiły, przedewszystkiem przez radio moskiewskie, że uznają konkordat ze Stolicą Apostolską, zawarty w 1925 roku, przez Stanisława Grabskiego, dzisiaj jednego z subagentów Bieruta, za zerwany przez Watykan. Jako na przyczynę, Bierut i Osóbka powołują się na posunięcia administracyjno-kościelne Watykanu, dokonane w Polsce w okresie okupacji niemieckiej, w 1941 roku. Wybieg to dosyć głupi, ale cóż mogli Bieruty wykonywać lepszego, zmuszeni do wywołania konfliktu z Watykanem przez swych właściwych mocodawców: Molotowa i Wyszyńskiego.

Żaloszna ta komedia nie przysporzy z pewnością agentom moskiewskim sympatji w świecie, o co Bieruty i bierutowcy zabiegają tak usilnie.

POLACY KANADYJSCY W OBRO- NIE POLSKI

W pierwszych trzech dniach września odbył się w Toronto Sejm Związku Narodowego Polskiego w Kanadzi. Po obradach, poświęconych sprawom organizacyjnym, uchwalono obszerną rezolucję, w której m. in. czytamy:

"Nie uznamy żadnego, narzuconego wyczerpanemu Narodowi Polskiemu rządu samozwańczego. Uprzywilejowani pobytem na tej wolnej polkuli świata, uważamy sobie za swój święty obowiązek wypowiedzieć głośno to, co każdy prawdziwy Polak w duszy myśli, a nie zawsze wypowiedzieć może, że Naród Polski zasłużył sobie postokroć i ponad miarę na to by miał swój własny, z wolnej woli obrany Rząd, reprezentujący nieprzymuszoną wolę większości. Do czasu aż Rząd taki w Warszawie z wolnych wyborów nie powstanie i w ręce swego następcy, zgodnie z Jego zapowiedzią Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej władzy swej dobrowolnie nie złoży, żadnych marionetkowych rządów, ani żadnych tych rządów decyzji nie będziemy uważać za legalne."

W wyniku przeprowadzonych wyborów powołano następujących członków na urzędy Zarządu Głównego: — A. Granat, prezes, J. Gierada wiceprezes, K. Herse sekretarz prof., i fin., K. Klimek organizator, Z. Jabłoński, S. Firmanty i M. Gryniewicz, kontrolerzy, J. Lis przewodniczący Sądu Organizacyjnego, J. Lach zastępca Przew. Sądu Org., F. Szauk-sztel, S. Szaniawski, M. Juruś, F. Paleczny W. Sapióło członkowie sądu.

ST. BALIŃSKI W AMERYCE

Świetny poeta, Stanisław Baliński, autor przepięknego tomu "Wielka podróż" i wzruszających "Trzech poematów o Warszawie" rozpoczął starania o otrzymanie wizy do Stanów Zjednoczonych i zamierza osiedlić się w Ameryce.

ZONA BRONIEWSKIEGO — ŻYJE

Pani Marja Zarębińska, młoda utalentowana aktorka warszawska, małżonka poety Władysława Broniewskiego, która więziona była w Oświęcimiu i o której od dłuższego czasu mówiono, że zmarła tam z męczarni i udreki, jak donoszą nam ostatnio, ocalała szczęśliwie z tego koszmarnego obozu i żyje.

ZJAZD PISARZY W KRAKOWIE

Na zjazd pisarzy, organizowany przez bierutowców, wyjechał z Londynu A. Słonimski i Ksawery Pruszyński. Szczęśliwej drogi!

"APEL"

W numerze niniejszym rozpoczynamy druk opowiadania pt. "Apel", opartego na przeżyciach więźniów oślawionego obozu śmierci i mąk w Oświęcimiu. Opowiadanie to napisał jeden z najzdolniejszych powieściopisarzy polskich młodego pokolenia. Nazwisko autora musi pozostać narażone nieujawnione.

Przeszedł on najcięższe koleje za czasów kupacji niemieckiej w Polsce i sam zaznał potwornych doświadczeń obozowych. Późniejsze jego przejścia budzą w nas jeszcze większą troskę, bo według ostatnich doniesień nie jest pewne czy wogóle pozostał przy życiu.

Zwracamy uwagę czytelników na tę pracę, równie wstrząsającą jak świetnie przeprowadzoną, a tem trudniejszą, że dotyka ona tematu, przed którego grozą i przeraźliwością ucieka ludzka pamięć i cofa się pióro.

Jest w tem jakiś heroizm pisarski i coś z dumnego przeświadczenia o sile polskiej, która w czasie wojny uczyniła z pióra broń wojującą tak odważnie i zwycięsko, jak to czytelnicy sami będą mogli osądzić z "Apelu".

RELACJA Z WARSZAWY

Reprezentantka p. Frances Bolton (Republican, Ohio) w wywiadzie udzielonym Associated Press po pobycie w Warszawie oświadczyła, że odbudowanie Polski jest poważnie utrudnione przez to, że wszystko tam zostało upaństwowione. "Jeżeli w Warszawie właściciel jakiejś nieruchomości zainwestuje pieniądze w jej uprządkowanie, a rząd sobie ją upodoba, wówczas właściciel ryzykuje stratę wszystkiego co miał" — mówi p. Bolton.

Polscy dziennikarze warszawscy skarżyli się p. Bolton, że Amerykanie nie zdają sobie sprawy z tego, co się w Polsce dzieje. "Otwórzcie ten kraj" — powiedziała p. Bolton w odpowiedzi — "dla naszych korespondentów i fotografów". Wiemy niestety, że ta uwaga należy się nie polskim dziennikarzom, lecz sowieckim uzurpatorom i ich poplecznikom.

PRZYJACIELE W KANADZIE

Otrzymałmy biuletyn quebeckiego komitetu kanadyjskich przyjaciół Polski, który nie słabnie w działalności informacyjnej i charytatywnej na rzecz naszego kraju. Biuletyn ukazuje się pod hasłem, że "naród który walczy, nie umiera". Prezeską Komitetu jest pani Marcel Esnouf, żona znanego adwokata i entuzjastka sprawy polskiej.

ZABAWA GÓRALI

W Passaic odbyła się w pierwszą niedzielę września impreza zorganizowana przez Stowarzyszenie Górali Tatrzańskich, którego miejscowym prezesem jest p. Jan Gromada. Dowiadujemy się, że zarówno przedstawienie pt. "Krewniak z Ameryki" jak i tańce góralskie, wykonane w strojach tradycyjnych przy oryginalnej muzyce zakopiańskiej, jako to cyfrowany, krzesany, zwyrwany i

zbójnicki, odniosły zasłużony sukces wśród publiczności.

Cieszy nas nie tylko sukces tej jednej imprezy, ale również fakt, że tradycje góralskie, tak sercu Polaków drogie i którym najwyższy pomnik w sztuce polskiej postawiony został przez Szymanowskiego w balecie "Harnasie", żyją tu między Polakami w Ameryce i dają poznać Amerykanom nieporównany folklor polski.



Orkiestra zakopiańska

APEL TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ "TYGODNIKA POLSKIEGO" PIERWSZA LISTA OFIARODAWCÓW

Na wysłany do czytelników apel Towarzystwa Przyjaciół i Wydawnictwa Tygodnika Polskiego w sprawie wysyłania naszego pisma żołnierzom i uchodźcom polskim i zwiększenia liczby czytelników na terenie Stanów Zjednoczonych, otrzymaliśmy już pierwsze odpowiedzi. Oto one:

Ks. Stanisław Zdebel z East Hampton, Mass. wpłacił trzy roczne prenumeraty.

Siostra M. Blanka łącznie z siostrą Kitą i Matką Jadwigą z Mt. Airy, Philadelphia, Pa., wpłaciła pięć rocznych prenumerat.

Jadwiga Kulpińska-Bogucka, Piotr Kulpinski i Wanda Kulpińska, Upper Derby, Pa., wpłacili po jednej prenumeracie rocznej oraz podali 27 nazwisk ewentualnych nowych prenumeratorów.

Bartłomiej Dąbrowski z Allen Town, Pa. — 1 prenumeratę półroczną.

Inż. M. Mayzner — 1 prenumeratę roczną.

Stefania Mulier — 1 prenumeratę półroczną.

Ksawery Popiak, South Boston, Mass., wpłacił trzy prenumeraty roczne.

A. K. Bergel, Bloomfield Hills, Mich., wpłacił jedną prenumeratę roczną.

Władysław Ochrymowicz, New York, zyskał nam nowego prenumeratora oraz zafiarował bezpłatnie ogłaszanie "Tygodnika" w swoim programie.

CZAPLICKI W BUFFALO

W Buffalo w dniach od 24-go do 29-go września w Kleinhaus Music Hall odbędzie się festival operowy, w ciągu którego wystąpi między innymi znany artysta baryton polski Jerzy Czapliski, w "Carmen" i "Lucia z Lammermoor."

POLACY W FILHARMONJI

Orkiestra Filharmonji Nowojorskiej pod dyrekcją Artura Rodzińskiego zaangażowała wśród solistów na sezon 1945-1946 następujących artystów polskich: Wandę Landowską, Bronisławę Hubermana, Artura Rubinsteina i Witolda Małcużyńskiego.

GŁOS KRZYWDY POLSKIEJ

Od jednej z czytelniczek otrzymujemy odpis listu, który dostała od 16-letniego junaka-kaleki. Drukujemy ten list jako przejmujący dokument krzywdy, która stała się nieoty udziałem młodych Polaków.

Kochana Pani,

Adres Pani otrzymałem od St. sierż. Konopko. Poniważ Pani mnie nie zna, więc przedstawię się: nazywam się Janek Mickowski, jestem junakiem — nie mogę się uczyć, bo jestem kaleką: na jedno oko wcale nie widzę, a kalectwo swe zawdzięczam bolszewikom, a dlatego zaraz Pani opiszę. Otóż gdy miałem 11 lat, zostałem wywieziony ze swą matką, siostrą i dwoma małymi braćmi, jeden miał 6 lat, a drugi 2 lata — wywieziono nas na Sybir, dlatego, że ojca nam aresztowali, i dlatego, że jesteśmy Polakami. Na Syberji ja, moja siostra i mój mały brat musieliśmy bardzo ciężko pracować, ja pracowałem przy oraniu ziemi bykami. Jak Pani wie, byki są bardzo leniwe, więc nie mogłem wyrobić naznaczonej normy za co zostałem uderzony w twarz przez kołchoznika. Od tego zaczęło się moje kalectwo. Po mocnym uderzeniu w twarz, straciłem przytomność i padając, uderzyłem się w oko, od tego powstał wrzód i oko mi wypłynęło. Życie miałem tam straszne tak ja jak i moja rodzina. Napewno umarlibyśmy z głodu, gdyby nie zabrało mnie tworzące się wojsko polskie do junaków. Teraz mam skończonych 16 lat, jest ze mną bracieczek, który ma dwunasty rok. Od matki i reszty rodziny nie mam żadnej wiadomości, nie wiem co się z nimi dzieje. Jest mi czasami bardzo smutno, chciałbym zobaczyć swoją mamusię i strasznie tęsknię za krajem — tam napewno jest już lato, ale wracać tam nie można, bo bolszewicy rządzą, a przecież raz cudem można wyrwać się z piekła, a drugi raz nie może być cudu. Biedni ludzie, którzy przechodzą tam teraz to, co myśmy przechodzili, napewno znów więzienia są pełne, głód, lzy i nędza. Napewno znów nie jedno dziecko jest sierotą, kaleką jak ja. Bardzo Panią przepraszam, że napisałem taki smutny list, ja już nie umiem pisać listów innych, bo moją radość dziecienną zabraли źli ludzie, ludzie którzy chcą zniszczyć nie tylko nas Polaków, ale wszystko, co polskie. Jeśli mi Pani odpisze, to napiszę Pani więcej — postaram się wtedy szczegółowo opisać moje życie na Syberji.

Całuję rączki Polki — Janek

LISTY DO REDAKCJI

Szanowna Redakcjo,

Będąc jednym ze stałych prenumeratorów "Tygodnika Polskiego" serdecznie dziękuję w imieniu własnym i wszystkich kolegów, czytelników cennego pisma literackiego, za dotychczasową regularną wysyłkę pod moim adresem.

Jednocześnie proszę uprzejmie, o przysłanie mi książki Kazimierza Wierzyńskiego pt. "Pobojowisko".

Z góry dziękuję za spełnienie mojej prośby i łącząc wyrazy uznanowania, oraz polecając się nadal łaskawej pamięci — pozostaję

z poważaniem

ppor. A. Skorecki

P. 27. Polish Forces, B. L. A.

Redaktor naszego pisma otrzymał następujący list od pana Kaarela Pusty, byłego ministra spraw zagranicznych Estonji i byłego posła estońskiego w Warszawie i w Paryżu:

My Dear Mr. Lechoń,

While reading in your magazine the notice on the passing of Minister Jan Szembek, I thought of my last meeting with him at Estoril, near Lisbon, in September 1940. So many people passed at that time through this headland of Europe toward new destinations, Szembek and his wife decided to stay there.

I also recollect our meetings in Brussels and Warsaw, business and social talks, all bearing in my memory the stamp of the pleasant courtesy and calm judgement of Minister Szembek. He certainly was one of those great functionaries, of which you said that they knew how to extricate themselves from terribly complicated and tedious matters. Now these matters became really uncontrollable by diplomatic means in which excelled Szembek, and so he sat down at Estoril to write his memoirs...

The purpose of my writing is to pay homage to the memory of this distinguished and friendly servant of Poland, and to condole affectionately with Countess Szembek, his spouse.

Yours,

Kaarel R. Pusta.

POTRZEBA PORTERÓW

dla dużego budynku biurowego, stała praca, dzienna, nocna \$40.00 wraz z "overtime"

Należy zgłosić się do
PANA INGE

59 PINE STREET
NEW YORK CITY, N. Y.

POTRZEBA KOBIET

do czyszczenia w dużym budynku biurowym, stała praca, \$31 wraz z "overtime"

Należy zgłosić się do
PANA INGE

59 PINE STREET
NEW YORK CITY, N. Y.